



JOHN CLEESE

Tak czy inaczej...



Historia o tym, jak pewien nieśmiały i bardzo wysoki chłopiec z małego angielskiego miasteczka stał się legendą

John Cleese, aktor i scenarzysta obdarzony niepowtarzalnym talentem komediowym. Członek słynnego Latającego Cyrku Monty Pythona, współtwórca tak kultowych filmów jak **Monthy Python i Święty Graal** czy **Żywot Briana** oraz serialu **Hotel Zacisze**. W szczerzej i błyskotliwie zabawnej autobiografii pisze bez zahamowań o swoim dzieciństwie, trudnych relacjach z matką, problemach w związkach z kobietami, o brytyjskim i amerykańskim biznesie rozrywkowym. Lecz przede wszystkim o tym, jak rośmieszać ludzi.
I jak zachować dystans wobec siebie.

JOHN CLEESE

Tak czy inaczej...

Z angielskiego przełożył

ŁUKASZ PRASKI



Tytuł oryginału:
SO, ANYWAY...

Copyright © John Cleese 2014
All rights reserved
First Published as *So, Anyway...* by Random House Books
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2015
Polish translation copyright © Łukasz Praski 2015

Redakcja: Beata Kaczmarczyk
Zdjęcie na okładce (*front*): Andy Gotts/Celebrity Pictures
Zdjęcia na okładce (*tył*): © John Cleese, Rex Features and Alamy
Liternictwo na okładce: Stephen Raw
Projekt okładki: Richard Ogle
Opracowanie graficzne okładki polskiej: Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.
Skład: Laguna

ISBN 978-83-7885-552-1

Książka dostępna także jako e-book

Dystrybutor

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp. j.
Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (22) 721 30 00, faks (22) 721 30 01
www.olesiejuk.pl

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com

Rozdział 3

Kiedy udało mi się przetrwać bezustanne szyderstwa strasznego pierwszego dnia w Szkole Podstawowej Świętego Piotra, wieczorem leżałem spokojnie w swojej sypialni niczym nowy jeniec oflagu Colditz, zastanawiając się, jak mam przeżyć. Był tylko jeden promyk nadziei: mój cień. Bardzo się już przywiązałem do swojego cienia. Był starszym chłopakiem, nazywał się John Reid i zgodnie z systemem obowiązującym u Świętego Piotra został mi przydzielony, aby nie odstępować mnie na krok, oprowadzał mnie po szkole, wyjaśniał, przestrzegał, zachęcał i sprawdzał, czy w każdym miejscu umiem się zachować tak, jak powinienem. Był bardzo życzliwy i uczynny i po tylu latach wciąż myślę o nim z wdzięcznością, chociaż krótko potem opuścił szkołę Świętego Piotra i na dobre zniknął z oczu (w każdym razie mnie: nie chcę przez to powiedzieć, że nagle stał się niewidzialny czy przezroczysty). Gdyby nie życzliwość Reida, przypuszczam, że umknąłbym chyłkiem i schował się w kubłę na śmieci, też na dobre znikając wszystkim z oczu, ponieważ odnosiłem wrażenie, że reszta uczniów mnie nie cierpi. Na pewno nie bardzo umiałem się zachować w towarzystwie – na przykład nadal wydawało mi się, że kopanie chłopaków w tyłek przysporzy mi w końcu popular-

ności – w dodatku byłem irytująco wysoki, żalosny i wymocz-kowaty, ale Reid pomógł mi przeżyć dwa pierwsze tygodnie. Potem pojawiła się dla mnie szansa.

Dysponowałem jeszcze jedną techniką przetrwania: czasem mówiłem coś, co rozśmieszało chłopaków. Gdy słyszałem ich śmiech, natychmiast ogarniało mnie miłe i ciepłe poczucie akcep-tacji, któremu towarzyszyła myśl: Może jednak jestem całkiem w porządku. Peter Cook zawsze twierdził, że celowo był zabawny, żeby powstrzymać dręczących go łobuzów. Sądzę, że w moim przypadku było to mniej świadome działanie – raczej w rodzaju: „O, to było fajne”. I kiedy się rozluźniałem, stawałem się oczywiście zabawniejszy, bo ta iskra zawsze się żarzyła. Tak więc gnębienie ustało i zacząłem nawiązywać pierwsze kontakty.

Jeżeli chodzi o naukę, byłem dość przeciętny. Po paru bardzo łagodnych trymestrach – spędzonych na dyktandach, robieniu kukielek z papier *mâché* i odróżnianiu słupków od pręcików – przeszedłem do klasy drugiej, gdzie nauczycielami byli sami męż-czyźni (z wyjątkiem żony dyrektora, z którą nie mógł się równać żaden osobnik płci męskiej u Świętego Piotra, łącznie z dyrek-torem). Zacząłem łącinę, której uczył kapitan Lancaster, imponujący człowiek o postawie wojskowego, nienagannie uczesanej grzywie siwych włosów, bujnych, choć przystrzyżonych siwych wąsach, bardzo czerwonej twarzy i (według legendy) straszliwie wybucho-wym usposobieniu. Nauka stała się poważną sprawą, ponieważ baliśmy się, żeby nie wpadł w „pasję”. Duża część pracy na jego lekcjach polegała na uczeniu się na pamięć, co nawet mi się podobało: lubiłem deklinować rzeczowniki i przymiotniki oraz koniugować czasowniki, a Bóg mi świadkiem, potrafił wbić nam to do głów, bo nawet dziś wszystko pamiętam i potrafię powtórzyć bez namysłu. Zabawne jednak, że nigdy nie widziałem, by dał upust swojemu straszliwie wybuchowemu usposobieniu. Ale tylko

dlatego, że staraliśmy się do tego nie dopuścić. (Później odkryłem, że mimo wojskowej postury i stopnia, a także reputacji furiata przyczyną jego oschłości była tylko i wyłącznie nieśmiałość: pod spodem krył się niezwykle łagodny i miły człowiek. Opowiadał, jak rozpoznawać śpiew ptaków, czytał nam *Trzech panów w łódce* – pod warunkiem że przerobiliśmy materiał. W jakiś dziwny sposób przerażająca reputacja przysłoniła jego naturalną dobroć, a fakt, że uczył WF-u, boksu i strzelania oraz nosił stopień kapitana, pomagał podtrzymywać ten fałsz).

Zawsze całkiem dobrze radziłem sobie z łaciną i matematyką. Właściwie nie wiem czemu. Być może dlatego, że jedno i drugie cechowało się pewną prostą logiką, którą mój umysł potrafił ogarnąć: należało nauczyć się zasad, a potem je stosować. W angielskim byłem najwyżej średni, a we wszystkich innych przedmiotach raczej kiepski, zwłaszcza we francuskim, który mnie zdumiewał: trzeba było wydawać dziwne dźwięki, których nigdy dotąd nie słyszałem i które nie miały absolutnie żadnego związku ze słowami na papierze. Dlaczego? Jaki w tym sens? A historia! Dlaczego mi opowiadano, jak król Alfred spalił ciastka? Jeżeli chcieli mnie nauczyć, żebym nie przypalał ciastek, czemu po prostu mi tego nie powiedzieli? Co król Alfred miał z tym wspólnego? Zresztą skoro był królem, co w ogóle robił w kuchni? A o co chodziło królowi Kanutowi, kiedy gawędził z morzem? Dlaczego zrobili go królem, skoro miał nierówno pod sufitem? Chyba dworzanie na plaży powinni wyciszyć całą sprawę? Nic nie miało tu żadnego sensu, co wytrącało mnie z równowagi, ponieważ wciąż jeszcze sądziłem, że wszystko powinno mieć sens, i gdy nie miało, budził się we mnie niepokój.

Najgorsza ze wszystkiego była religia. Religia naprawdę mnie przerażała. Przede wszystkim cechowała ją ta sama bezsensowna przypadkowość co historię. Zgoda, był niejaki Achab, który, jak

pisze Biblia, „chodził pokornie”, i zdaje się Jan, który „jeździł szaleńczo”, chyba też jakiś Ezechiel, który „źle rysował”. Ale... to wszystko działo się tysiące lat temu! Dlaczego oczekiwano ode mnie, że będę się tego uczył na pamięć?! To prawda, przyjmowano pewne mgliste założenie, że dzięki temu znajdę się bliżej Boga, lecz w takim razie, kim był Bóg, kiedy był u siebie? I dlaczego ciągle się wściekał na swój naród wybrany, skoro bez trudu mógłby zmienić zdanie i zdecydować się na grupę bardziej skłoną do współpracy?

Niczego nigdy nie wytłumaczono jak należy. Tak jak zawsze uważano za rzecz oczywistą, że wiesz, dlaczego ważna jest nauka łaciny, produkowanie kukiełek z papier *mâché* czy wiedza, gdzie uprawia się len, moi nauczyciele jednomyślnie przyjęli założenie, że wiem, czym katolicy różnią się od protestantów, i że wiem, co to jest „życie wieczne”, jak gdybym widział to na półkach w sklepach spożywczych. Ale religia budziła we mnie lęk przede wszystkim dlatego, że najwyraźniej miała być ważna, ponieważ co dzień rano podczas modlitwy dyrektor czytał fragmenty Biblii. Nie potrafiłem jednak pojąć, o czym opowiadały, chociaż miałem wrażenie, że słyszę angielski. Gdyby je czytał po flamandzku, byłbym spokojniejszy, wiedząc, że nie mają być dla mnie zrozumiałe, ale najwyraźniej spodziewano się po mnie, że się zorientuję, o co w nich chodzi: „Niechaj nie wie lewica twoja, co czyni prawica twoja”. Co proszę? „Błogosławieni cisi”. Naprawdę? Nie sądzę, żeby ta rada coś mi dała. „Nie będziesz pożądał wołu bliźniego swego”. Żartujecie sobie? Wszystko to byłoby ciekawe, gdyby nauczyciele o tym z nami rozmawiali z punktu widzenia naszych doświadczeń. Czemu więc nie rozmawiali?

Neurolog i psychiatra Maurice Nicoll opowiadał mi, jak kiedyś zapytał swojego dyrektora o pewien ustęp w Biblii i słuchając odpowiedzi, doszedł do wniosku, że ten człowiek nie ma pojęcia, o czym mówi. Podziwiam Nicolla za to, że dokonał tego odkrycia,

mając zaledwie dziesięć lat. Ja potrzebowałem czterdziestu pięciu, zanim to do mnie dotarło: bardzo, bardzo niewiele osób ma jakiegokolwiek pojęcie, o czym mówi. Wyobraźcie sobie, gdyby choć jeden z nauczycieli u Świętego Piotra oznajmił mi w 1949 roku: „Musisz zawsze pamiętać, że dziewięćdziesiąt procent tego, co ci mówimy, to czyste brednie”. Wyobraźcie sobie, jaki to byłby impuls intelektualny!

Kiedy chodziłem na niedzielne spacerzy z tatą, podczas których dokładnie opowiadałem o swoich obawach związanych z nadchodzącym tygodniem, a on dodawał mi otuchy i zagrzewał do walki od poniedziałku rano, wiele moich niepokojów brało się z próby zrozumienia, co się, do cholery, dzieje i co to znaczy.

Najbardziej zaskakujące (i naprawdę dezorientujące) zdarzenie z początków mojego życia w Świętym Piotrze miało miejsce pewnego popołudnia w trakcie „odpoczynku”, gdy wszyscy siedzieliśmy w swoich ławkach, czytając o przygodach *Bigglesa* i *Billy’ego Buntera* i trawiąc lunch. Uniosłem wzrok znad lektury i zobaczyłem jednego ze swoich kolegów siedzącego po prawej stronie, mniej więcej cztery i pół metra ode mnie. Przerwał czytanie i z uwagą głaskał coś leżącego mu na kolanach. Ogarnęła mnie ciekawość. Co mógł pieścić z taką czułością? Mój subtelny czytelniku, wyprzedzasz o jakieś trzy linijki dziewięcioletniego Cleese’a, który rzucał hipotezę za hipotezą, usiłując pojąć, co jest grane. W końcu dane mi było zrozumieć. Trochę jak dawni mieszkańcy Oceanii, którzy nie potrafili zobaczyć wielkiej łodzi, kiedy przybiła do ich brzegów, ponieważ istnienie łodzi tak gigantycznych rozmiarów absolutnie przekraczało granice ich dotychczasowego doświadczenia, przez bardzo długi czas oswajałem się z rzeczywistością zjawiska, które bez wątpienia rozgrywało się na moich oczach. Potem jednak łuski spadły mi z oczu i z całą świadomością stwierdziłem, że mój kolega zajmuje się własnym penisem. Patrząc

na to z perspektywy czasu, muszę dodać na swoją obronę, że zmylił mnie niewzruszony spokój, z jakim to robił, jak gdyby bez pośpiechu temperował ulubiony ołówek; nie mieściło mi się w głowie, że można w tak prosty i zwyczajny sposób upubliczniać intymną część ciała. Musiało istnieć jakieś inne wytłumaczenie. Kiedy siedziałem, poszukując gorączkowo alternatywnej interpretacji, z lewej minął mnie jakiś chłopak, który nisko pochylony (aby nie zauważył go dyżurny nauczyciel, czytający książkę na drugim końcu sali) ruszył biegiem w kierunku chłopaka z penisem na wierzchu i kucnął obok niego, żeby mieć najlepszy widok na jego poczynania. Byłbym równie zdumiony przebiegiem zdarzeń, któremu się przyglądałem, gdyby obaj bezgłośnie unieśli się w powietrze i lewitując, przeobrazili się w pterodaktyle, po czym wyfrunęli przez okno.

Nie wiem, co się potem działo, mam pustkę w głowie. Pamiętam tylko, jak siedziałem w domu i opowiadałem o wszystkim tacie. Nazajutrz poszedł porozmawiać z dyrektorem, panem Tolsonem; następnego dnia pozwolono mi zostać w domu, a dyrektor wygłosił do całej szkoły mowę na temat części intymnych. Jak zwykle wykazując się przyzwoitością, pan Tolson zdawał sobie sprawę, że gdybym wysłuchał jego przemówienia, kolor twarzy mógłby mnie zdemaskować jako piątą kolumnę wśród szkolnej społeczności. (Powinienem wyjaśnić, że to, co oglądałem, nie miało dla mnie charakteru seksualnego w rozumieniu dorosłych; uważałem po prostu, że penis powinien pozostać w sferze prywatności).

W innych dziedzinach zacząłem jednak przejawiać mniej nieśmiałości – czyli, w żargonie Świętego Piotra, „patałachowatości”. Pewnego razu wdałem się nawet w bójkę z chłopakiem, który mi dokuczał. Leżałem na podłodze, mocując się z nim jak porządny uczeń; wałęsałem nawet jego głową o posadzkę i w tym momencie pomyślałem: Boże! Jeżeli zacznę przegrywać, zrobi mi to samo!.

po czym oczywiście zacząłem przegrywać. Na szczęście pojawił się mój wychowawca, pan Howdle, i nas rozdzielił. Co ciekawe, mniej więcej wtedy przestali mnie dręczyć. Moja pierwsza bójka okazała się ostatnią. Tak w każdym razie sądziłem, dopóki niedawno nie przeczytałem w „Sunday Timesie”, że w latach osiemdziesiątych pobiłem się z Terrym Gilliamem. Wydaje mi się to mało prawdopodobne – ze względu na stosunkowo rzadkie przypadki walki na pięści w rodzinie Cleese’ów, statystycznie rzecz biorąc, powinienem pamiętać tak niecodzienne zdarzenia; wyraźnie odróżniałyby się od mniej bokserskiego ducha reszty mojego życia. I z pewnością nie przypominam sobie żadnej bijatyki z Terrym Gilliamem. Jeśli wolno mi zauważyć, gdyby do niej doszło, prawie na pewno bym go zabił. Sądzę, że artykuł w „Sunday Timesie” – jeżeli napisano w nim prawdę – można wytłumaczyć jedynie w ten sposób, że Terry mnie zaatakował, a ja po prostu tego nie zauważyłem. Z powodu pałkowatych nóg Terry jest bardzo niski, więc kiedy się przemieszcza, drepcze tak blisko podłogi, że bardzo trudno się zorientować, co tam kombinuje.

Ale odbiegam od tematu...

Innym przyczynkiem do przełamywania własnej nieśmiałości był fakt, że często brałem udział w grach z chłopakami, co mnie trochę rozluźniało; mam na myśli nie tylko sport, który nie wymagał ani odwagi, ani siły, jak na przykład tenis stołowy, szachy i snooker, ale również (ponieważ odznaczałem się niezłą koordynacją wzrokowo-ruchową) kilka gier zespołowych – naturalnie oprócz rugby, które wymyślono dla złośliwych i brutalnych dryblasów. Nigdy nie rozumiałem wielu zasad gier, w których uczestniczyłem, ale dla małych chłopców nie ma to większego znaczenia; kiedyś przyglądałem się dwóm chłopakom grającym w szachy i zauważywszy, że został zbity król, zwróciłem im na to uwagę, a w odpowiedzi usłyszałem: „Wiemy”. W każdym razie polega to

na tym, że od czasu do czasu uczysz się kolejnej reguły, aż w końcu poznajesz ich tyle, że możesz grać, jak należy. (Z wyjątkiem rugby, gdzie nawet w międzynarodowych rozgrywkach wszystkie zasady rozumie tylko sędzia, który przy każdej decyzji musi je tłumaczyć zawodnikom, zwłaszcza tym bardzo zwalistym).

Mniej więcej wtedy spotkałem nauczyciela, który wywarł na mnie największe wrażenie: pana Bartletta. Zaczął mnie uczyć matematyki i muszę wyznać, że w pierwszym trymestrze nie rozumiałem prawie nic. Ale gdy wykładał mi to samo w następnym trymestrze, chwyciłem w lot: wszystko stało się proste i oczywiste. Zostałem więc przeniesiony do bardziej zaawansowanej grupy, gdzie pan Bartlett przedstawił mi nowe zagadnienia matematyczne, kompletnie niezrozumiałe aż do następnego trymestru, kiedy stały się jasne jak słońce i bez trudu je sobie przyswoiłem. Innymi słowy, po promocji następowała konsternacja, a w kolejnym trymestrze pełne zrozumienie. Pan Bartlett był bardzo dobrym nauczycielem.

Jednak największe znaczenie pana Bartletta – dla każdego z nas – polegało na psychologicznym uroku, jaki na nas rzucał. Zaczęło nam niebywale zależeć na sprawieniu mu przyjemności, nie tylko indywidualnie, lecz także jako całej klasie. Dlatego słuchaliśmy uważnie każdego jego słowa, a kiedy mieliśmy pracę do odrobienia, staraliśmy się ze wszystkich sił wykonać ją jak najlepiej. Przypominam sobie, jak pewnego wieczoru, gdy wszyscy siedzieliśmy w Wielkiej Sali, rozwiązując zadania z geometrii dla pana Bartletta, jeden z chłopców, David Rogers, miał kłopoty techniczne z cyrklem – przyrządem zaopatrzonym w ostry metalowy kolec, który należało wbić w kartkę papieru, a potem obracać drugim ramieniem narzędzia, aby nakreślić idealny okrąg. Z wolna zaczęłam sobie zdawać sprawę z narastającej udręki Rogersa siedzącego w ławce obok: wyglądało na to, że ilekroć był bliski

narysowania pięknego, równiutkiego koła, czubek cyrkla wyskakiwał ze swojego miejsca, a razem z nim ześlizgiwał się ołówek, tworząc na kartce paskudny zygzak i rujnując niemal skończony okrąg. W tym momencie Rogers wydawał cichy, zdławiony krzyk wściekłości, chwycił gumkę i zaciekle ścierał swoje prawie, prawie gotowe koło, po czym łapał cyrkiel, wbijał w kartkę – która po pierwszych czterech czy pięciu próbach zaczynała przypominać z lekka zaorane pole – i z niewiarygodną skrupulatnością zaczynał nim obracać, dopóki ołówek nie zatoczył łuku trzystu pięćdziesięciu stopni, bo właśnie w tym momencie czubek cyrkla znów obsuwał się po papierze, psując świetne dotąd dzieło i wywołując następny zduszony ryk rozpaczcy Rogersa, który wpadał w kolejny szal gumowania, coraz bardziej przypominający akt zemsty. Ale zemsty na kim? Chyba na samym życiu...

Później doszedłem do wniosku, że zabawna była nie tyle sama złość, ile kryjący się za nią strach, paraliżująca obawa przed utratą przychylności pana Bartletta, przed wyrzuceniem w ciemności zewnętrzne na resztę trymestru. Na tym polegała jego niezwykła moc, dzięki której nad nami panował. Nie baliśmy się jego wściekłości, baliśmy się stracić jego aprobatę. Wiele lat potem uświadomiłem sobie, że to bardzo podobne do dąsów ukochanej osoby. Wszyscy znamy ich dziwnie potężną siłę rażenia...

Następnie Rogers zrobił rzecz, która była najzabawniejsza ze wszystkiego, co widziałem w dotychczasowym życiu. Poszedł pożyczyć od kogoś scyzoryk, zdecydowanym krokiem zbliżył się do kosza na śmieci i twardo tłumiąc straszliwą, zimną furję, która mimo wszystko wprawiała go w lekkie drżenie, zaczął zaciekle ostrzyć czubek cyrkla. Pomysł, żeby ostrzyć metalowy szpikulec za pomocą zwykłego scyzoryka, w połączeniu z maniackalnym, lodowatym spokojem Rogersa i ledwie hamowaną, kipiącą żądzą krwi, która nim powodowała; świadomość, że kryje się za tym

paniczny strach przed nieuchronną niełaską pana Bartletta – wszystko to złożyło się w potężną burzę komizmu, która zupełnie mnie rozwalila. Im głośniej ryczałem ze śmiechu, z tym większą determinacją i zajądłością Rogers usiłował usprawnić swój cyrkli!

Napięcie Rogersa było niemal identyczne ze stanem emocjonalnym, do którego Connie Booth i ja próbowaliśmy doprowadzić Basila w trakcie każdego z odcinków *Hotelu Zacisze*. Ponieważ napisano już tak wiele na temat gniewu Basila, dokonując przy tym wielu uproszczeń lub po prostu pisząc nieprawdę, może warto sprostować nieścisłości. Chociaż podejrzewam, że taka próba jest skazana na porażkę.

Gniew Basila prawie zawsze bierze się ze strachu: strachu przed złym raportem z kontroli inspektora hotelowego; strachu, że otruł gościa; strachu, że inspektor sanitarny zobaczy szczura; strachu przed zdenerwowaniem ważnych gości, na przykład psychiatrów albo lorda; strachu, aby nie obrazić gości z Niemiec; strachu przed ujawnieniem faktu, że kucharz jest niezdolny do gotowania podczas Wieczoru Smakoszy; strachu przed ośmieszeniem się przed przyjaciółmi zaproszonymi na rocznicę ślubu; strachu, by goście z Ameryki nie odkryli, że w kuchni nie ma kucharza; strachu, by żona nie przyłapała go w niedwuznacznej sytuacji z jasnowłosą Australijką czy atrakcyjną Francuzką; strachu, by żona się nie dowiedziała, że grał na wyścigach konnych albo próbował zaoszczędzić, zatrudniając nieudolnych budowlańców... mam kontynuować?

Potem, z powodu stresu wywołanego tym strachem, na początku każdego odcinka zaczyna popełniać drobne błędy. Gdy jego wysiłki naprawy sytuacji spełzają na niczym, wpada w coraz większą panikę i desperację, przez co podejmuje coraz gorsze decyzje, aż wreszcie wykopuje pod sobą dołek czy kilka dołków, z których nie ma już ucieczki.

To po prostu dobra, staroświecka farsa: 1) bohater robi coś, co musi zatuszować; 2) z powodu narastającej paniki dokonuje

coraz bardziej nietrafionych wyborów; 3) pakuje się w śmieszne sytuacje; 4) jego grzechy w końcu wychodzą na jaw (albo nie zostają wykryte), i wszystko dobre, co się dobrze kończy.

(Nawiasem mówiąc, proszę mi wybaczyć użycie rodzaju męskiego w powyższym akapicie, ale nie znam klasycznej farsy, której bohaterką byłaby kobieta).

Powinienem tu wskazać na jeszcze jedno podobieństwo między Basilem Fawltym a Davidem Rogersem. Otóż zabawny jest tylko tłumiony gniew. Gdyby Basil kiedykolwiek całkiem stracił nad sobą panowanie i zaczął się wydzierać na ludzi, widzowie raczej by się nie śmiali. Kiedy stara się go pohamować, ale wiele charakterystycznych oznak świadczy o tym, że mu się nie udaje (bezinteresowny sarkazm, wymierzanie samemu sobie klapsa, okładanie samochodu, przesadnie staranny dobór słów, gwałtowne trzaskanie słuchawką), właśnie wtedy staje się zabawny, tak samo jak David Rogers, gdy miarowy ruch, którym ostrzył cyrkiel, zdradzał gotującą się wewnątrz potworną furję. Można spojrzeć na to w ten sposób: prawdziwy gniew może się sprawdzić w prawdziwym życiu; nie sprawdzi się w komedii. Zabawny jest wyłącznie gniew nieudolny.

Tak czy inaczej...

Pan Bartlett był imponującą postacią nie tylko dzięki swoim umiejętnościom pedagogicznym i zdolności panowania nad nami; imponował mi pod każdym innym względem i był pierwszym takim poznanym przeze mnie człowiekiem. Przejawiało się to w dwojaki sposób. Po pierwsze, wydawało się, że wie wszystko o wszystkim. Gdy z wolna zacząłem to sobie uświadamiać i ogarniał mnie coraz większy podziw, nasunęła mi się myśl, że gdybym mógł zdobyć dość informacji o wszystkich aspektach świata, też zdołałbym całkowicie zapanować nad własnym życiem i stać się odporny na pociski zawistnego losu: zwłaszcza na docinki, sarkazm i dokuczanie. Zacząłem mieć więc obsesyjne poczucie, że powi-

nieniem wiedzieć wszystko o wszystkim. Może zabrakło mi intelektu i siły woli, by rozwinąć ten projekt, co jednak nigdy nie zachwiało moim przekonaniem, że wszechwiedza rozwiąże każdy ewentualny problem.

Drugim aspektem osobowości pana Bartletta, który wywarł silny wpływ na mnie oraz na kilka pokoleń uczniów Świętego Piotra, była jego wymagająca natura; jego życie wyglądało jak ciągła krucjata samotnego dżentelmena przeciwko wszelkim wulgarnościom. Nie mam na myśli tego, co uchodziłoby za wulgarne w Wielkiej Brytanii roku 2014: prostackich rozmów o tyłkach, piersiach i genitaliach, przeklinania, agresywnych i obraźliwych zachowań, piercingu, tandetnych strojów, pijaństwa, ostentacyjnego blichtru, ogolonych głów, tatuaży, programów telewizyjnych typu reality show, marketingu i wszystkich innych krzykliwych form zachowania, które doprowadziły nasz wielki kraj do dzisiejszego stanu. Nie, pan Bartlett był zbulwersowany (to jego ulubione słowo) znacznie subtelniejszymi rzeczami: na przykład najdrobniejszym przejawem „popisywania się” czy zwracania na siebie uwagi – nazywał to „autoreklamą”. Co by pomyślał o naszej kulturze celebrytów? Prezentował podejście do życia dżentelmena z epoki edwardiańskiej: uprzejmość, takt, umiar, dbałość, by nie stawiać innych w kłopotliwym położeniu, dyskrecja, wyczucie, życzliwość, skromność – nie, bardziej niż skromność, skłonność do usuwania się w cień; miał wszystkie cechy, które zdyskwalifikowałyby każdego starającego się o pracę w „Daily Mail”. Ale urok tej postawy polegał na poczuciu humoru, a nawet odrobinie żartobliwości w jego ciągłym „zbulwersowaniu”; poza tym rzadko bywał *głęboko* zbulwersowany; czasem tylko *lekko* zbulwersowany, na przykład naszą głupotą, której dowodów dawaliśmy niemało. Na każdy nasz najnowszy kretyński wyczyn reagował cudownie kamienną twarzą, wyrażającą konsternację i zdumienie; jeżeli udało się nam go zadowolić, towarzyszył temu niemal filuterny błysk

w oku. Pragnęliśmy tego jak kanie dżdzu i od czasu do czasu nagradzał w ten sposób niektórych z nas – swoich ulubieńców. Był naszym bogiem, wysokim, o pociągłej twarzy i wielkiej kulturze, którego kochaliśmy i którego bardzo się baliśmy. Kiedy oddawaliśmy mu kiepską pracę, wkraczał do klasy z takim wyrazem twarzy, jak gdyby jego matkę właśnie wrzucono do maszynki do mięsa, i oznajmiał: „A więc... wojna”. Potem wolno podchodził do okna i nieobecny wzrokiem wyglądał na zewnątrz, a wtedy wszyscy mieliśmy ochotę popełnić samobójstwo i modliliśmy się, by znów uśmiechnął się do jednego z nas. Za mną nie przepadał, ale zawsze mogłem mieć nadzieję. Tymczasem uwielbiałem go za dowcip: gdy kiedyś powiedział jednemu z chłopców, że „bezużytecznie marnuje przestrzeń”, uznałem, że to najdowcipniejsza kwestia, jaka padła od początku świata. (Nadal tak uważam, chociaż już wiem, że nie była oryginalna).

Wśród nauczycieli był jeden, który nawet mnie lubił, na pewno w pewnej mierze dlatego, że i ja go dość lubiłem. Nie lubił go jednak nikt inny – może dlatego, że miał mało atrakcyjną powierzchowność. Właściwie to nieprawda. Wyraziłem się zbyt uprzejmie. Był brzydki. Boże, ależ był koszmarny. Mógłby wygrywać wszystkie konkursy, nie wyjmując nawet zębów. Co ciekawe – i urocze – był także nieco próżny: ciągle poprawiał włosy i zerkał w lusterko. Dziwnie wzruszający był jego widok, kiedy w ten sposób walczył z trudnościami nie do pokonania – jak gdyby Quasimodo próbował używać kredki do oczu albo człowiek-słoń nakładał sobie tupecik.

Nazywał się wielebny A.H. Dolman i był Niemcem. Nie wiedzieliśmy nic więcej, chociaż domyślaliśmy się, co może oznaczać A. Równie odrażający był także pod innymi względami. Był bardzo gruby (przepraszam! – miał sporą nadwagę) i człapał po szkole, zderzając się z ludźmi i tarasując drzwi, nie miał też wonnego oddechu, więc staraliśmy się nie stawać za blisko, opowiadał wymęczone, bezsensowne dowcipy, które potem wyjaśniał,

miał raczej gardłowy akcent (niespodzianka!) i mówił jakimś nieznanym dialektem angielskiego, w którym roilo się od specyficznych ulubionych powiedzonek w rodzaju „naprawdę mówiąc”, „mówiąc w istocie”, „ogólnie mówiąc”, „zazwyczaj mówiąc” i szczególnie „tak naprawdę”, które pojawiało się mniej więcej co dwadzieścia sekund. Dlatego, naturalnie mówiąc, zaczęliśmy liczyć, ile razy ich używa. Od kapitana Lancastera przejął obowiązki naszego nauczyciela łaciny; to dla mnie zagadka, jak udało mi się czegoś od niego nauczyć, ale się uczyłem, bo lubiłem łacinę, i to chyba najważniejszy powód, dla którego zapalałiśmy do siebie wzajemną sympatią.

I całe szczęście, ponieważ gdy w 1953 roku pan Tolson spytał pana Bartletta, czy powinienem się ubiegać o stypendium z matematyki w Clifton College, a pan Bartlett odrzucił ten pomysł, pocziwy wielebny Dolman nalegał, żebym starał się o stypendium z łaciny. Nie udało mi się, lecz z niewiadomego powodu przyznano mi jednak matematyczne (w wysokości trzydziestu pięciu funtów rocznie). I cóż na to powiesz, Boże?

O ile pamięć mnie nie myli, lubiłem pozostałych nauczycieli: pana Gilberta, pana Howdle’a, pana Sangera-Daviesa (nazywanego Sangerem-Pliszką od jego charakterystycznego chodu), pana Thoma, który nosił zamszowe buty na kauczukowych podeszwach i wydawał się nieco barwniejszą postacią od innych, oraz sympatycznego pana Hickleya od muzyki, który w końcu wyrzucił mnie z lekcji śpiewu, ponieważ byłem strasznym beztalenciem, w dodatku z tendencjami do zachowań wywrotowych. (Zemściłem się piętnaście lat później, kiedy jako jedyny z jego uczniów wystąpiłem w musicalu wystawianym na Broadwayu). Właściwie to dość dziwne, że darzyłem ich taką sympatią: gdy chłopcy rozgrywali doroczny mecz krykieta z ciałem pedagogicznym (używającym bardzo wąskich, przyciętych wybijaków), zawsze życzyłem nauczycielom zwycięstwa, nawet kiedy sam grałem. Przypuszczam, że

przez to, iż tak bardzo ufałem tacie i wierzyłem, że zawsze działa dla mojego dobra, przeniosłem tę wiarę na nauczycieli, którzy zresztą stanowili grupę jednakowo porządną i życzliwych ludzi. Bez względu na uczucia, jakie do nich żywiłem, wyczuwałem, że słabość do mnie mieli tylko wielbny Dolman i dyrektor.

Na pierwszy rzut oka pan Tolson sprawiał wrażenie WIELKIEGO. W istocie nie był aż tak wielki, ale taki się nam wydawał. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu, potężne barki, okazały tors i szeroką, okrągłą twarz, którą zwykle rozjaśniał przyjazny uśmiech, nieco roztargnione oczy za dużymi okularami bez oprawek; w dodatku całość wieńczyła wspaniała, rozległa i zaskakująco różowa łysina. Na następny rzut oka sprawiał wrażenie kogoś... ważnego. Czuło się, że niepodzielnie włada szkołą i że jego słowo zawsze ma moc sprawczą. A nawet więcej: atmosfera szkoły stanowiła przedłużenie jego samego. Po trzecie – i najbardziej niezwykle, jak się miałem przekonać – był człowiekiem otwartym emocjonalnie, w odróżnieniu od pełnego finezji, dystygowanego pana Bartletta czy przerażająco szorstkiego i nieśmiałego kapitana Lancastera lub odrażającego wielbego Dolmana. Był z gruntu życzliwym optymistą, serdecznym i na wskroś przyzwoitym, choć dość łatwo się denerwował, zwłaszcza jeśli chłopcy okazywali się mięczakami albo szkole groził bałagan, albo gdy nasi odwieczni rywale, chłopcy ze szkoły Świętego Dunstana z Burnham-on-Sea, wygrali z nami w piłkę nożną. Najbardziej jednak srożył się (i różowił), wdając się w utarczkę z piękną, elegancką, majestatyczną jak cesarzowa Jean Tolson, ciemnowłosą, rasową istotą czystej krwi latynoskiej, która z odległości trzydziestu kroków potrafiła położyć trupem człowieka jednym uderzeniem języka. Wspomniałem, że słowo Geoffreya Tolsona miało moc sprawczą, ale nie dotyczyło to sytuacji, kiedy mówił do pani Tolson, ponieważ wtedy słowo traciło jakąkolwiek moc: chyba zupełnie opadało z sił

i potrzebowało reanimacji. Na ogół jednak pan Tolson był pogodny, często miał żartobliwy błysk w oku i stroił sobie niewinne żarty. Darzyłem go głęboką sympatią i zaufaniem.

Dziwne, że najbardziej wryło mi się w pamięć zdarzenie, gdy zganił mnie za arogancję. Wziął mnie na bok i wyjaśnił, że doszły go słuchy, iż poprzedniego dnia na boisku krykietowym zachowałem się niestosownie: wprawdzie niczego złego nie powiedziałem, ale z mowy mojego ciała można było wyczytać odrobinę buty, zarozumiałstwa, „nadymania się jak paw”. Miał zresztą rację: ostatnio zaczęło mi się wydawać, że całkiem nieźle gram w krykiecie, i owszem, popisywałem się, byłem „zbyt zapatrzony w siebie” i „woda sodowa uderzyła mi do głowy”! Tolson wytłumaczył mi, bardzo łagodnie, że to nie jest w dobrym tonie i nie powinno się powtórzyć. Wiedziałem, że ma rację, zrobiło mi się wstyd i postarałem się, aby to się więcej nie powtórzyło.

Incydent jest o tyle ciekawy, że ów stosunkowo skromny wybuch egotyzmu (czy „autoreklamy”) został najwyraźniej od razu zgłoszony najwyższej władzy i w ciągu kilku godzin zażegnano groźbę, że tak niemęskie, śródziemnomorskie zachowanie rozpowszechni się wśród pozostałych chłopców. W tej sprawie Tolson, Bartlett, kapitan Lancaster i reszta prezentowali wspólne stanowisko: żadnej pychy, żadnych ekstrawagancji, żadnego „zadzierania nosa”... żadnego braku manier... żadnych zachowań niegodnych dżentelmena. (Jakież to kontrast z moim doświadczeniem sprzed kilku lat podczas sesji terapii małżeńskiej w Kalifornii, kiedy tłumaczyłem [bardzo znanemu] terapeutę, że „przechwalanie się” uważano w Anglii za mało wyszukane, jeśli nie prostackie, a w odpowiedzi usłyszałem, że „autopromocja” jest zachowaniem jak najbardziej dojrzałym i w pełni akceptowanym społecznie).

W akcie, który ukształtował mój światopogląd, pan Tolson zabrał kiedyś całą szkołę do kina na *Scotta na Antarktydzie*. Wszystkim zaimponowało bohaterstwo Scotta, który bez słowa skargi

znosił cierpienie. Nie można się było jednak oprzeć wrażeniu, że przesłanie filmu nie sprowadza się do tego, iż najwyższą formą angielskiego heroizmu jest stoicyzm w obliczu klęski, ale że w przypadku Scotta posmak sukcesu mógłby splamić męstwo, z jakim znosił przeciwności losu. Przecież on i jego ludzie zamarli na śmierć, tracąc złoty medal na rzecz Norwegów, tak samo jak szarża lekkiej brygady w bitwie pod Bałakławą zyskała na wspałości, ponieważ okazała się zupełnie bezsensowna, a męczeństwo generała Gordona, którego bez pośpiechu zarąbano na śmierć, robi tym większe wrażenie, że doszło do tego w trakcie całkowitego unicestwienia jego oddziałów w Chartumie. Z drugiej strony heroizm lorda Nelsona i generała Wolfe'a być może stracił nieco blasku z powodu bliskiego związku z dwoma bardzo ważnymi zwycięstwami, nawet jeśli obaj zarobili parę dodatkowych punktów dzięki temu, że zginęli w momencie triumfu. Moim zdaniem Amerykanie prawdopodobnie podejrzewają, że generał Custer mógł być z pochodzenia Brytyjczykiem.

Właściwie, patrząc na naszych bohaterów narodowych uważanych za wzory do naśladowania, trudno w którymś z nich dostrzec radość i optymizm. Wyczuwa się nawet nutę depresji. Co ciekawe, wyrażenie *joie de vivre** chyba pochodzi z obcego języka.

Niemniej jednak, mimo że pokazywano nam pouczające historie o walorach porażki, pan Tolson zaś przypominał mi, że powinienem powściągnąć swoje wybujałe ego, dalej nabierałem pewności siebie, a nawet poczucia własnej wartości. Muszę za to podziękować swoim kolegom. Kilka lat temu amerykańska psycholożka Judith Harris oburzyła establishment terapeutów, sugerując, że przywiązuje się nadmierną wagę do wpływu rodziców na rozwój dziecka, a nie docenia się oddziaływanie grupy rówieśniczej. Bez względu na

* *Joie de vivre* (fr.) – radość życia.

naukowe argumenty za tą teorią lub przeciw niej, nie ulega wątpliwości, że mój poziom patalogiczności gwałtownie spadał, mięczakostwo w zauważalny sposób obumierało, a wszystko dzięki zabawom z kumplami.

Z pewnością nie miało to nic wspólnego z moimi osiągnięciami. Nie wykaczały poza przeciętne, prócz wyników z matematyki i łaciny, nie wykazywałem też zdolności twórczych. Gdy wielbny Dolman obsadził mnie w roli Malwolia w *Wieczorze Trzech Króli*, kompletnie nie wiedziałem, co mam robić ani nawet mówić. Do dziś pamiętam, jak recytowałem: „M, O, A, J – to nie tak jasne jak początek – a przecie – byle zadać sobie trochę mozołu, można wszystko do mnie zastosować, bo każda z tych liter wchodzi do mojego nazwiska”*, nie miałem bladego pojęcia, co to znaczy. Nikt mi niczego nie wytłumaczył (nawet tego, dlaczego jest takie ważne, by Malwolio miał „podwiązki na krzyż zawiązane”), ale przynajmniej wyszedłem na scenę, powiedziałem swój tekst bez pomyłki, a chociaż nie pamiętam, żebym usłyszał choć jeden wybuch śmiechu, nie zemdlałem i wszyscy wydawali się zadowoleni.

W ostatnim roku nauki u Świętego Piotra wykonałem jednak olbrzymi krok naprzód. Czytałem kiedyś książkę pod tytułem *Mastery* autorstwa George’a Leonarda, niezwykle człowieka, który pomagał Michaelowi Murphy’emu prowadzić Instytut Esalen w Big Sur, dokąd jeździły najtęższe umysły w Ameryce, aby „mówić, co naprawdę myślą”. Zawarł w niej spostrzeżenie, że gdy pracujemy nad zdobyciem jakiejś umiejętności, nie doskonalimy się stopniowo, jakbyśmy wspinali się po prostej linii wykresu; postępy pojawiają się nagle. Po okresie, kiedy wydaje się nam, że nasza sprawność w ogóle się nie poprawia, jeśli cierpliwie ćwiczymy dalej, następuje nieoczekiwany przeskok na następny poziom. Zastój... skok! Zastój... skok! Zastój... skok! Trochę jak w koncepcji saltacionizmu

* *Wieczór Trzech Króli* Szekspira w przekładzie Leona Ulricha, akt II, scena 5.

w teorii ewolucji. Przeżyłem coś takiego, ucząc się matematyki u pana Bartletta, a teraz nagle okazałem się dobry w wielu dziedzinach – nie tylko dlatego, że byłem już wyższy od wszystkich nauczycieli, nie wyłączając pana Tolsona. (Chociaż wzrost pomagał mi w takich rzeczach jak skok wzwyż, boks, bieg przez płotki, kręgle, dzięki niemu czułem się też trochę ważniejszy niż kiedykolwiek wcześniej).



Państwo Tolson, pan Bartlett (z prawej) i ja, za panią Tolson.

Byłem teraz w klasie złożonej z zaledwie sześciu trzynastolatków. Nie czułem się jak w szkole; raczej jak w jakimś ekskluzywnym klubie nauki. Uczono nas indywidualnie, co uwielbiałem. Każdy przedmiot stawał się fascynujący i przyjemny jak nigdy dotąd (i jak rzadko potem, choć wówczas jeszcze o tym nie wiedziałem). Pamiętam, jak myślałem, że w tej atmosferze staję się bystrzejszy, a nawet poprawiam swoje umiejętności w dziedzinach życia, które wcześniej stanowiły dla mnie czarną magię. W szczególności w rugby. Nadal byłem zbyt tchórzliwy, żeby

wstawiać mnie do pierwszej piętnastki, ale ponieważ przewyższałem pozostałych o jakiś metr, w drugim składzie okazałem się nie do zatrzymania. W pierwszym meczu ze szkołą King's w Taunton dostałem podanie, zobaczyłem, jak zwarte szeregi drugiej piętnastki King's rozpierzchają się przede mną, przebiegłem między nimi i zdobyłem punkty. Po wznowieniu gry nasza drużyna przejęła piłkę, która dostała się w moje ręce, i znów uzyskałem przyłożenie. Po jakimś czasie stało się to niemal monotonne. W dawnych czasach, gdy dostawałem piłkę, szybko ją oddawałem, zanim ktoś zdążył mi zrobić krzywdę, teraz jednak galopowałem spokojnie niczym żyrafa wśród Pigmejów, którzy za każdym razem rozstępowali się przede mną jak Morze Czerwone przed Mojżeszem, pozwalając mi bez żadnych przeszkód przyłożyć piłkę między słupkami. Przypuszczam, że wygraliśmy jakieś 430 do 0.

Ciekawiej wyglądał rewanż. Rozpoczęła drużyna King's, piłkę przejęli zawodnicy Świętego Piotra, podali do mnie i ruszyłem naprzód. Ale nagle zobaczyłem niewielką bluzę King's, która biegła w moją stronę, zamiast przede mną uciekać. To naturalnie wzbudziło moje zainteresowanie. W bluzie, rzecz jasna, kryło się jakieś małe stworzenie i kiedy zwolniłem, żeby się lepiej przyjrzeć, nagle pochyliło głowę, przyspieszyło i rąbnęło mnie bykiem w splot słoneczny. Wywołało to widowiskowy efekt, zbliżony do zburzenia wieży Eiffla w zwolnionym tempie. Zniesiono mnie z boiska i musiałem leżeć za linią boczną, nie mogąc oddychać przez pół godziny, podczas gdy King's do przerwy zdobył ogromną przewagę punktową. Wyszedłem jednak na drugą połowę i w momencie, kiedy dostałem piłkę, poszukałem wzrokiem zamachowca. Od razu się odnalazł! I z zawrotną szybkością pędził prosto na mnie! Zaczekałem, aż pochyli głowę, i wybierając odpowiedni moment, obróciłem ku niemu biodro... tak więc zamiast wbić mi się brzuch, czubek jego głowy trafił w moją twardą kość. To był jego koniec.

Święty Piotr wygrał jakieś 130 do 18, ale mimo wszystko mecz okazał się o wiele bardziej wyrównany.

Myślę, że ostatnie miesiące spędzone w szkole Świętego Piotra były na swój dziecięcy sposób najszcześniejszym okresem mojego życia. Dobrze sobie radziłem – byłem nawet kapitanem drużyny krykieta, chociaż nie pamiętam, żebym zdobywał dużo runów czy eliminował wielu odbijających – nauka była przyjemna, czułem radość i pewność siebie, wszystkim lubiłem (i oni chyba też mnie lubili, co było bardzo ważne). Patrząc wstecz, widzę „złote czasy”, beztroskie i szczęśliwe dni, gdy wszystkie bardziej dorosłe kłopoty – zmartwienia, jak sobie z czymś poradzisz, czy wystarczająco dużo się uczysz, żeby zdać egzaminy, rozczarowania, że niektórzy są lepsi w tym, na czym ci naprawdę zależy, niepokój o stan swojej cery, uczucie beznadziejnej nieporadności w towarzystwie dziewczyn... nie zaczęły nawet jeszcze majaczyć na horyzoncie.

Jedyną dostrzegalną ciemną chmurą widoczną na błękitnym horyzoncie była... moja matka. Ciemną chmurą? Już wyjaśniam.

Istotną cechą ludzkiego aparatu percepcyjnego – pięciu zmysłów – jest fakt, że został przystosowany do wykrywania zmian. Ruch, nowy dźwięk, ukłucie, inny smak czy zapach – natychmiast to wychwytyjemy. To mechanizm samozachowawczy. Jeśli nic się nie zmienia, jesteśmy bezpieczni. Dlatego zapominamy o czymś, co się nie zmienia: warkot wiertarki, tak irytujący rankiem, po południu przestaje do nas docierać, jeżeli świadomie nie zwrócimy na niego uwagi. Podobnie jest z „atmosferą”. Przyzwyczajamy się do niej, aż staje się tak znajoma, że przestajemy na nią zważać. Historia, którą chcę teraz opowiedzieć, wiele mówi o typowej atmosferze panującej w domu Cleese’ów w Weston.

Gdy miałem dwanaście lat, przeprowadziliśmy się (kolejny raz) do mieszkania na piętrze tuż przy szkole Świętego Piotra (i rodzice mogli patrzeć, jak idę podjazdem, przechodzę na drugą stronę

ulicy, przez bramę i aż do wejścia z tyłu szkolnego budynku, gdzie się odwracałem, żeby im pomachać). Właśnie w tym domu pewnego wieczoru ojciec poprosił mnie, żebym usiadł, po czym spokojnie mi wyjaśnił, że za kilka dni matka prawdopodobnie się wyprowadzi i zamieszka gdzie indziej; do nas wprowadzi się natomiast jego siostra Dorothy, żeby się nami zająć. Dziwne, ale nie przypominam sobie, aby zabrzmiało to szczególnie dramatycznie ani nawet zaskakująco. Bardzo lubiłem Dorothy, więc pomyślałem po prostu: Kiedy przyjedzie ciocia, będzie spokojnie i wesoło, wszyscy będą dla siebie mili i wszystko będzie proste.

Ale do niczego takiego nie doszło. Tato więcej o tym nie wspominał. Dorothy, która z nami pomieszkała, wyjechała i bardzo długo jej nie widziałem. Rok później przeprowadziliśmy się do Bristolu, gdzie wkrótce miałem zostać uczniem Clifton College, a matka, rzecz jasna, pojechała tam z nami.

Dom raczej mi się podobał. Czulem się w nim dobrze, ponieważ przez długie lata należał do dziadka i tu go odwiedzaliśmy; gdy w 1952 roku dziadek zmarł w wieku osiemdziesięciu pięciu lat, zostawił dom w spadku tacie. Po raz pierwszy mieliśmy dla siebie cały dom; to był bliźniak z miniaturowym ogródkiem od frontu i małym ogrodem z tyłu, na którego końcu znajdował się komisariat policji Redland, dzięki czemu czuliśmy się bardzo bezpiecznie.

To był mój dwunasty dom w ciągu trzynastu lat. Po części dlatego, że mam kiepską pamięć wzrokową, lecz także i dlatego, że nigdzie dłużej nie zagrzałem miejsca, mam w głowie jedynie fragmentaryczne obrazy z pierwszych jedenastu. Pamiętam sypialnię, gdzie mama okładała pięściami tatę, schody prowadzące do mieszkania pani Phillips, ogród za domem, gdzie zdobyłem setkę w krykiecie, salon w Burnham, z którego uciekła nasza papużka falista. Potrafię sobie jednak przypomnieć szczegółowo każdy pokój przy East Shrubbery 2 w Redland, niedaleko Clifton w Bristolu,

ponieważ miał to być mój dom przez następne pięć lat – czyli według standardów Cleese'ów prawie epokę geologiczną. Poza tym spędzałem w nim dużo czasu nie tylko dlatego, że nie mieszkalem w internacie, ale również z tego powodu, że nawet podczas wakacji bardzo rzadko ryzykowaliśmy wyjazd w dalsze strony.

Wspominam go z prawdziwym sentymentem: wydawał mi się bezpieczną bazą, z której mogłem wyruszyć w dorosły świat.